

EGZEMPLARZ PŁATNY

Nr. 9 styczeń-marzec 2023r. INS rej. 15/20

WIOSKA NA KRAŃCU



KWARTALNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY STOWARZYSZENIA
„W STAREJ GMINIE” MIEJSCOWOŚCI HUTA KRZESZOWSKA



„Zima”

Walery Brochocki (1847-1923)

Postrach Kozaków – książę Jeremi Korybut Wiśniowiecki – w Krzeszowie?

Zapewne niewiele osób w Polsce ma świadomość, iż los połączył niegdyś tę wielobarwną postać XVII-wiecznej Rzeczypospolitej, uznawaną do dzisiaj przez niektórych za krwawego pacyfikatora powstania Chmielnickiego oraz porywczego i bezwzględneho kniazia, według innych zaś za potężnego magnata kresowego a przy tym wielkiego patriotę, z naszym ukochanym regionem.

Tymczasem faktycznie tak było. Ów opatrznosciowy dowódca wojsk koronnych pod Zbarażem (w 1649) a przy okazji wybawca ludności żydowskiej z rąk rebeliantów, wspierający osobiście króla Jana Kazimierza w bitwie pod Beresteczkiem (w 1651), ten sam, który przekształcił swoje dobra dziedziczne na Ukrainie „w państwo w państwie”, dzięki intensywnej kolonizacji, fundator tamtejszych cerkwi i kościołów katolickich, właśnie tutaj, tzn. dokładnie w Krzeszowie nad Sanem, należącym akurat do rodziny jego żony, spisał własny, notabene dosyć obszerny, testament.

Wyraził w nim, pod znaną nam obecnie datą, czyli 28 marca 1651 roku, nie tylko swoją wiarę w Boga Wszechmogącego oraz wierność nauce katolickiej, zgodnie ze słowami: „wstępuję do [grobu] z takowym prawdziwemu Panu oraz Kościołowi Rzymskiemu oświadczeniem, iż credo, quod Redemptor meus vivit et ego surrecturus sum in novissima die et in carne mea videbo Deum salvatorem meum, (tj. „wierzę, że mój Odkupiciel żyje, a ja zmartwychwstanę w dniu ostatecznym i we własnym ciele ujrzę Boga mego zbawcę”), lecz także szacunek, jakim darzył swoją małżonkę Gryzeldę Konstancję z Zamoyskich, ponadto miłość do jedynego syna, który dzięki jego nieśmiertelnej sławie został w 1669 roku... kolejnym królem Polski, jak również wielką życzliwość dla swoich wiernych sług, czy poddanych.

Co ciekawe, zawarł w nim również dyspozycje względem własnego pogrzebu, „by odbył się [on] bez żadnych pomp światowych oraz próżnych wyniosłości, według ceremonii Kościoła Rzymskiego, [ale] w jak największej asystencji kapłanów, sług bożych i kongresie ubogich” oraz zalecił kształcenie swego syna ustanowionym wówczas opiekunom do „czasu i lat sposobnych do usługiwania [przez niego] ojczyźnie”, nie zapomniawszy wszakże o podziale dochodów z jego wielkiego majątku na członków rodziny, liczne fundacje kościelne, w tym świątynie katolickie w Leżajsku i Jarosławiu, czy na zasłużonych towarzyszy broni lub dobrodziejów.

Tyle tylko, że... dotyczył on już niestety owych dóbr, które bezpowrotnie utracił wskutek nieustających walk z Kozakami, pustoszącymi jego posiadłości do tego stopnia, że pozostawił najbliższych spadkobierców po swej nagłej śmierci (w sierpniu 1651 roku pod Pawołoczą), dosłownie z niczym. Dlatego jego dumna żona – „Gryzelda Konstancja z Zamościa Korybutowa Księżna na Wiśniowcu i Łubniach”, siostra trzeciego ordynata, po prostu go zataiła przed światem, by nie wszedł w życie, gdyż nakładał na nią i jej syna zbyt liczne obciążenia a zgodnie z jej skargą w liście, skierowanym zapewne do brata Jana zwanego Sobiepanem, „nie miała pieniędzy nawet na ubranie służby na pogrzeb męża”.

Z tego też względu książę nie doczekał się nigdy chociażby skromniejszego, ale za to uroczystego pochówku. Jego ostatnia droga wyglądała bowiem następująco: „Cztery wierzchowce Wiśniowieckiego przybrane kirem [poprzedzały jego ciało]. Dopiero za końmi szli pieszo hetmani, senatorowie, pułkownicy i w ogóle cała starszyzna wojskowa. Żałobnie warczały bębny. Orszak uszedł ponad ćwierć mili, po czym zatrzymał się w otwartym polu. Tu kazanie wygłosili ksiądz Czarnocki, dziwnym trafem ten sam, który przed kilkunastu laty

w Zamojskiej Kolegiacie [dziś katedrze], przemawiał na ślubie Jeremiego, witając go na nowej drodze życia. Żegnał go teraz u kresu ziemskiego żywota.

Po księdzu mowy wygłosili: wojewoda braclawski Lanckoroński, towarzysz broni księcia ze Zbaraża i Beresteczka oraz Szczawiński, wojewoda brzesko-kujawski. Po tych mowach oddano trzy salwy z armat, trzy razy dały ognia wszystkie piesze regimenty, zagłuszając płacz i lament tysięcy żołnierzy, bo nic słyszeć nie było, prócz łez. Odbywanie takiej uroczystości w bezpośredniej bliskości nieprzyjaciela było nader niebezpieczne, toteż zaraz po niej dowódcy zarządzili powrót do obozu. Ale mimo rozkazów, żołnierze odprowadzali zwłoki ukochanego wodza jeszcze przez kilka mil i nikt nie śmiał wytykać im niesubordynacji”.

Spod Pawołoczy ciało księcia powędrowało na zachód. Jak wiemy z testamentu, Jeremi Wiśniowiecki wyraził życzenie, aby pochować go w fundowanym przez niego murowanym kościele w Wiśniowcu i to „w niedzielę najdalej cztery, o ile prędzej nie będzie mogło ono być [tam] złożone”. Niestety tego postanowienia zmarłego nie uszanowano, pomimo „zaklinania przed Sądem Bożym wyznaczonych przez niego wykonawców”.

Jego trumnę przewieziono bowiem dalej, aż do Sokala, gdzie umieszczono ją tymczasowo w miejscowym kościele. Oficjalnie mówiono, że w Wiśniowcu nie byłaby bezpieczna, gdyż Kozacy mogliby sprofanować zwłoki. Ale to nie był prawdziwy powód, ponieważ w czasie, gdy ciało Jeremiego Wiśniowieckiego wieziono do Sokala, Chmielnicki był już pod Białą Cerkwią, przyciśnięty przez wojska koronne oraz litewskie i podpisywał kolejną ugodę. W Wiśniowcu nikt już się wtedy nie liczył z najazdem kozackim. Zresztą Sokal leżał tylko ok. 80 km dalej na zachód od niego i drogi doń nie broniła niestety żadna twierdza. Gdyby zatem Kozacy dotarli do Wiśniowca, zajęliby zapewne i Sokal.

Powód był inny. Książę, który w przeddzień bitwy beresteckiej zadłużył się zbytnio na konto przyszłych dochodów ze swoich zadnieprzańskich dóbr, oczywiście na rzecz zaciągu i zorganizowania obrony kraju, pozostawił rodzinę w opłakanym stanie finansowym. Widać z tego na pierwszy rzut oka, że zrobił to w celu ratowania ojczyzny a przy okazji zapewne także własnego majątku. Nic więc dziwnego, że pogrzeb księcia i senatora Rzeczypospolitej, jako że w 1646 roku został jeszcze wojewodą ruskim oraz byłego regimentarza wojsk JKM, wymagał należytej oprawy a co za tym idzie, olbrzymich kosztów.

Wdowy pozostającej po jego zgonie praktycznie na łasce u brata, który w tym czasie sam wojował na Ukrainie, nie było stać na opłacenie takiej uroczystości. Zresztą jedyne, co zrobił dla niego z czasem syn Michał, to ufundował mu tablicę z napisem łacińskim: „Heremias Cosacorum terror – Dux et princeps Visnioviecius – Michaelis Primi Regis Poloniae Progenitor – A.D. 1653 depositus”. (Jeremi postrach Kozaków – wódz i książę Wiśniowiecki – Michała Pierwszego Króla Polskiego Rodzic – Roku Pańskiego 1653 złożony).

Dokonał tego w opactwie na... Łysej Górze, czyli w Świętym Krzyżu, bo tam rzekomo spoczywają do dzisiaj prochy księcia. Obecnie trudno to rozstrzygnąć, bo ono w XVIII w. spłonęło. Jednakże w 1653 roku Gryzelda Konstancja Zamoyska faktycznie przywiozła jego ciało właśnie do tego miejsca. Pełniło ono wówczas taką samą rolę, co późniejsza Częstochowa. Złożyła je w tym niegdyś benedyktyńskim monasterze, również tymczasowo, czekając na lepszą sytuację finansową, właśnie ze względu na to, iż tutejszy kościół świętokrzyski był wtedy obiektem kultu o pierwszorzędym znaczeniu w Polsce.

Nie można więc mówić, że nic dla swego męża nie zrobiła. Na tyle było ją stać. Co prawda, sejmik lubelski wezwał w międzyczasie króla do wzięcia „pod swoją łaskę i opiekę” syna zmarłego księcia. Także szlachta sandomierska, zebrana wówczas na własnym sejmiku, wyraziła troskę o przyszłe losy książęcej rodziny, zwłaszcza zaś o środki na edukację młodego Michała a także pomyślała o umorzeniu długów zaciągniętych przez jego ojca na wojsko.

Stąd też najbliższy sejm, odbyty w styczniu-marcu 1652 roku, przyczynił się nawet do postulatów wspomnianych sejmików, uchwalając następującą rezolucję: „Mając w pamięci odważne zasługi i śmierć w ekspedycji wojennej, podjęte przez Wielmożnego Jeremiego Michała Korybuta Księcia Wiśniowieckiego, wojewody ruskiego, sumy pewne, które nieboszczyk za żywota swego na ludzi w służbie Rzeczypospolitej będących, ze skarbu koronnego pobrał, powagą Sejmu niniejszego potomstwu jego odpuszczamy”. Ale na tym się niestety skończyło.

Poznajmy zatem nieco bliżej bieg życia tego wielkiego bohatera, który za swe zasługi dla kraju nie doczekał się nawet pogrzebu od państwa. **Jarema, czy też Jeremi Wiśniowiecki herbu Korybut, (oba imiona są używane w Rzeczypospolitej zamiennie, z tym, że pierwsze podobnie do polskiego, jest wschodniosłowiańskim odpowiednikiem biblijnego Jeremiasza), urodził się dnia 17 sierpnia 1612 roku w Łubniach (obecnie miasto w napadniętej przez Rosję Ukrainie), jako syn Michała Wiśniowieckiego, starosty owruckiego i córki hospodara mołdawskiego Jeremiasza – Rainy Mohylanki, w rodzinie prawosławnej.**

Już w wieku 4 lat stracił ojca, który zginął otruty przez kapłana tego wyznania, należącego do przeciwników osadzonego przez Polaków w Mołdawii wspomnianego hospodara. Trzy lata później zmarła również jego matka, zaklinając go, by nigdy nie porzucił swej wiary. Odtąd był wychowywany przez stryja Konstantego Wiśniowieckiego. Kształcił się początkowo w Kolegium Jezuitów we Lwowie. Po jego ukończeniu oraz dalszej edukacji przeszedł, wbrew woli matki, z prawosławia na katolicyzm w obrządku łacińskim. (Dokładnie w 1632 roku).

Pomimo zmiany wiary, nigdy nie prześladował osób prawosławnych, nakazał nawet otoczyć opieką ich cerkiew, znajdującą się w jego rodzinnej miejscowości w Wiśniowcu, w której zostali pochowani rodzice księcia. Wcześniej jednak wyjechał za granicę. Przebywał m.in. w Rzymie, Padwie i Bolonii, gdzie w 1630 roku zapisał się do albumu studentów miejscowego uniwersytetu.

Kilka lat po powrocie do kraju poślubił najstarszą córkę drugiego Ordynata na Zamościu – Tomasza Zamoyskiego – Gryzeldę Konstancję. (Stało się to dokładnie w 1639 roku. Z tego małżeństwa przyszedł na świat dwanaście miesięcy później... przyszły król Polski Michał Korybut). Niestety już w 1641 roku zmarł jego jedyny opiekun Konstanty Wiśniowiecki. To właśnie po nim książe Jeremi odziedziczył ogromny majątek, stając się jednym z największych magnatów kresowych, czyli arystokratą Rzeczypospolitej Obojga Narodów.

Początkowo nie interesował się zbytnio sprawami publicznymi, angażując się w nie, głównie w celu obrony prywatnych włości. Jednak 4 kwietnia 1646 roku został mianowany wojewodą ruskim, stając się senatorem, w miejsce Jakuba Sobieskiego, który przejął urząd kasztelana krakowskiego za zmarłego wówczas Stanisława Koniecpolskiego, dziadka fundatora ziemi dla klasztoru franciszkańskiego pod Biłgorajem. W międzyczasie został dodatkowo starostą przemyskim, nowotarskim, hadziackim i kaniowskim

Ponadto wkrótce otrzymał od króla Władysława IV (w 1648) obszary wokół porohów dniprzańskich, na których znajdowała się główna siedziba Kozaków, jego największych wrogów. Będąc panem wielkich dóbr ziemskich na Wołyniu i we wschodniej Ukrainie, powiększył je znacznie za swego życia. Przeprowadził bowiem nie tylko udaną kolonizację słabo zaludnionych ziem prawo i lewobrzeżnego Zadnieprza, osadzając na tamtejszych ziemiach pięciokrotnie więcej osadników, niż jego przodkowie (z ośmiu tysięcy domostw w 1641 doszedł do trzydziestu ośmiu w 1648 roku), lecz także przekazywał własne dochody na fundacje kościołów, cerkwi, czy nawet miasteczek oraz na prawosławne i katolickie szkolnictwo.

Zainicjował m.in. fundację klasztoru Karmelitów Bosych w rodowym Wiśniowcu (w 1645), ufundował klasztor OO. Bernardynów w odziedziczonym Łubnie (przed 1651) i dążył

do utworzenia Kolegium Jezuickiego w Rumnie w województwie kijowskim, o które wcześniej toczył spory z Adamem Kazanowskim. (Swoje majątki posiadał aż w trzech dawnych województwach wschodnich, tzn. w ruskim, wołyńskim i właśnie kijowskim).

Jako przedstawiciel województwa ruskiego brał udział w 1648 roku w elekcji króla Jana Kazimierza, któremu pozostał wierny do końca. Jeśli chodzi o jego doświadczenie wojskowe zdobywał je w Niderlandach, gdzie był obserwatorem oblężenia Maastricht w 1632 roku. Po powrocie do Rzeczypospolitej ze studiów zagranicznych uczestniczył jako podkomendny w wojnie smoleńskiej (1633-1634), stojąc na czele regimentu piechoty i dragonów a także w kilku wyprawach wojennych na pograniczu polsko-moskiewskim.

Dowodził wtedy własnym wojskiem prywatnym, którego liczebność podczas jednej z nich wyniosła aż cztery tysiące żołnierzy. Od 1637 do 1638 roku brał jeszcze udział w tłumieniu powstania kozackiego Dymitra Huni, dowodząc w mniejszych bitwach. Walczył ponadto w wojnie z Tatarami w latach 1640-1646, zwyciężając nad nimi 6 sierpnia 1643 roku nad Sułą. Bił się także w wojskami tatarskimi pod Ochmatowem (w 1644), gdzie dowodził lewym skrzydłem wojsk polskich i nad Merlem (w 1646 roku), pokonując orzę powracającą spod Moskwy z jasyrem.

Największą rolę odegrał jednak w tłumieniu powstania Chmielnickiego (1648-1651), walcząc pod Konstantynowem i Piławcami (w 1648), broniąc Lwowa, następnie Zbaraża (w 1649), obok Aleksandra Koniecpolskiego oraz Marka Sobieskiego, chociaż formalnie dowódcami obrony, z królewskiej nominacji, byli trzej nieudolni regimentarze: Andrzej Firlej, Stanisław Lanckoroński i Mikołaj Ostroróg

Z tego względu został wyznaczony przez Sejm roku 1649/1650, jako senator, na komisarza komisji wojskowej lubelskiej, która miała się zająć wypłatą zaległych żołnierzom pieniędzy. Jego ostatnia bitwa, jak się okazało po nagłej i zagadkowej śmierci, zresztą dzięki niemu także zwycięska, miała miejsce pod Beresteczkiem (w 1651), gdzie dowodził polską jazdą.

Właśnie przed tą zbliżającą się walką z kozacko-tatarską armią przybył 28 marca tego roku do Krzeszowa nad Sanem, bo tu zapewne przebywała wówczas jego małżonka Gryzelda z Zamoyskich, po utracie wielu majątków na Ukrainie, by w tym miejscu sporządzić swój testament. Sam książę Jeremi Wiśniowiecki zmarł w czasie kampanii wojennej, kilka miesięcy później, tzn. w niedzielę 20 sierpnia 1651 roku w obozie koło Pawołoczy.

Młody wiek i nagła śmierć ks. Jeremiego, po zaledwie tygodniowej chorobie, wzbudziły zrozumiale podejrzenia o otrucie, przypuszczalnie arsenem. Niestety sekcja zwłok tego potem nie wykazała a kres życia Pana na Wiśniowcu i Łubniach nie okazał się wcale kresem jego ziemskiej tułaczki.

Co więcej, badacz jego domniemanych zwłok, kierownik Katedry Kryminalistyki Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach – Jan Widacki, kryminolog oraz autor książki „Książę Jarema” zarazem, po przeprowadzeniu oględzin doczesnych szczątków na Świętym Krzyżu, w oparciu o liczne badania wykonane w laboratoriach, przy wykorzystaniu wszelkich dostępnych zdobyczy medycyny sądowej, stwierdził we wrześniu 1980 roku, iż nie pozwalają one na stwierdzenie autentyczności zwłok księcia Wiśniowieckiego.

To zaś znowu świadczy o jednym: do dzisiaj jeszcze nie zaznał prawdziwego pokoju.

Piotr Flor
Prezes Biłgorajskiego Towarzystwa Regionalnego



Portret Gryzeldy z Zamoyskich
Wiśniowieckiej żony ks. Jeremiego
w Muzeum Państwowym w Kozłowie



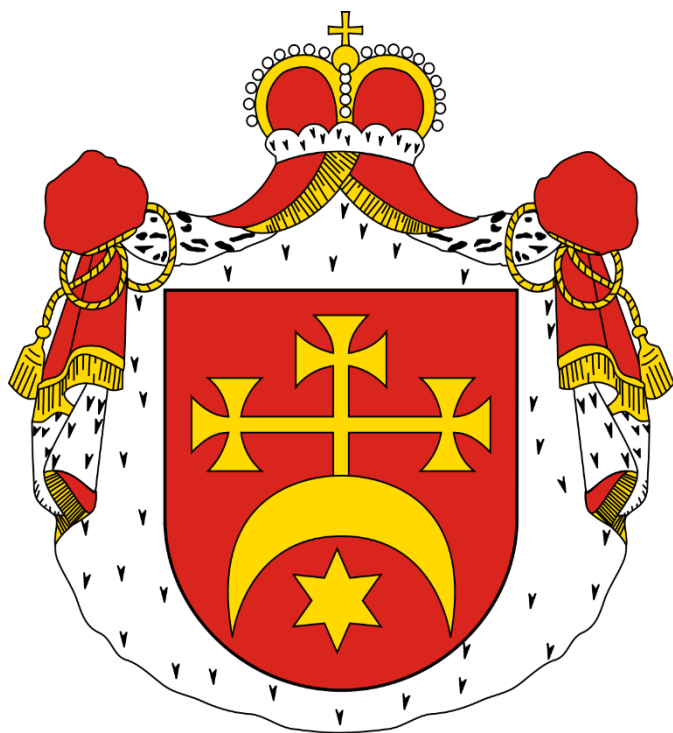
Krypta księcia Jeremiego
Wiśniowieckiego na Świętym Krzyżu



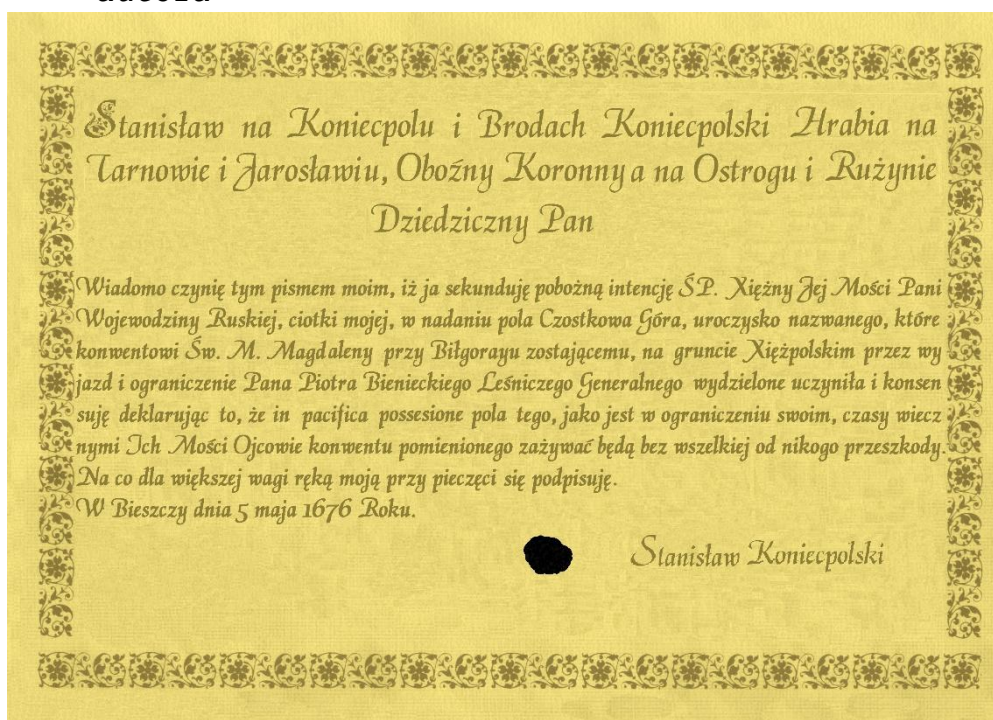
Portret Rainy Wiśniowieckiej-
Mohylanki matki Jeremiego
Wiśniowieckiego



Portret księcia Jeremiego
Wiśniowieckiego nieznanego
autora



Herb Korybut



Akt nadania Czostkowej Góry franciszkanom pod Biłgorajem,
zgodnie z wolą śp. Gryzeldy Wiśniowieckiej.
Odnalazł i opracował P. Flor.

BOOKIECIK WRAŻEŃ POLECA

Zimowa aura za oknem sprzyja zagłębianiu się w lekturze. Tym razem proponuję wam sięgnięcie po powieść fantasy dla młodzieży i dorosłych. Zamknijcie na moment oczy i zastanówcie się, z czym kojarzy się wam las. Z gęstwiną drzew, domem dla leśnych stworzeń, mnogością dźwięków dochodzących z każdej strony? A może wasze skojarzenia bywają zgoła odmienne? I niekoniecznie tak pozytywne?

Po przeczytaniu "Szeptu lasu" Marleny J. Sychowskiej wasze spojrzenie na las i jego tajemnice już nigdy nie będzie takie samo. To magiczna powieść fantasy, stanowiąca retelling ukochanych baśni dzieciństwa. Motywy znane z "Kopciuszka", "Królewny Śnieżki" czy mojej ulubionej "Pięknej i Bestii" spleciono tutaj tak umiejętnie, że niemal nieuchwytnie przenikają się i uzupełniają wzajemnie, dając obraz całości, od której nie sposób się oderwać.

Zapraszam zatem do krainy wiecznego słońca Amarat, rządzonej tak jak i pozostałe Sześć Królestw twardą (tu chciałoby się napisać "sprawiedliwą", byłoby to jednak spore przekłamanie) ręką Króla, który co roku wydaje wielki bal dla wszystkich panien bez względu na ich pochodzenie czy materialny status. Kulminacyjnym punktem wystawnego balu jest wybór dokonywany przez zaczarowane lustro - wybór Najpiękniejszej, której nowym domem stanie się od tej pory królewski zamek. To wielkie wyróżnienie, stąd chętnych na tytuł Najpiękniejszej nigdy nie brakuje. Tym razem jednak wszystko przebiega inaczej - zakochany książę pragnie, by lustro nie wskazało jego wybranki, tajemniczy drwal dokonuje zuchwałej kradzieży niezbędnego elementu całej ceremonii, a wskazana przez lustro Najpiękniejsza ucieka w popłochu z zamku po tym, jak dane jej było odkryć największą i najokrutniejszą z jego tajemnic.

Dzieje się, oj dzieje..., prawda? Ale to tylko początek tej opowieści, zaledwie jej poszum. Wraz z Najpiękniejszą poznać magię Czarnego Boru, poczuć samo serce potężnej kniei, stanąć się niemymi świadkami niejednej bitwy, toczonych z pomocą sił przyrody. I trudno będzie o chwilę oddechu, bo historia ma dynamiczny przebieg.

Dla wielu z was najciekawszym wątkiem będzie miłość - tego jestem pewna - przedstawiona niejednowymiarowo, nie dotycząca tylko dwojga ślepo zapatrzonych w siebie ludzi, niekoniecznie zawsze odwzajemniona, ale wymagająca najwyższych poświęceń i drastycznych czynów.

A w końcu las - to on buduje ten niezwykły klimat powieści. Jest zagadkowy, tajemniczy, pełen niespodzianek. Tu wszystko może się zdarzyć - da bezpieczne schronienie, wskaże właściwą drogę tym o czystym sercu i dobrych zamiarach, wyszepta ostrzeżenie, jeśli tylko będziesz w stanie je dosłyszeć. Bywa jednak mroczny i nieprzenikniony, śmiercionośny w chwilach zagrożenia. Przyjazny wobec swych strażników zwanych Szeptami, okrutny wobec najeźdźców i wrogów...

Autorka pisze prostym, ale barwnym językiem, nie wprowadza wielu neologizmów, sugestywnie oddaje nastrój, umiejętnie stopniuje i wycisza napięcie. Lektura jest samą przyjemnością, bo i baśnie czyta się przecież tak przyjemnie. A ileż przy tym emocji, często bardzo skrajnych. Uważam, że debiut Marleny Sychowskiej zasługuje na waszą uwagę i uznanie, liczę też, że to nie pierwsze i nie ostatnie spotkanie z Siedmioma Królestwami. Ja zdecydowanie potrzebuję kolejnych. Zapraszam też na wywiad z autorką.



„Szept lasu” Marleny J. Sychowskiej
Wydawnictwo Osobliwe

BOOKIECIKOWA ROZMOWA Z AUTORKĄ MARLENĄ J. SYCHOWSKĄ

Marlena J. Sychowska - z wykształcenia dziennikarka, z pasji pisarka i reklamożerca. To zabiegana mama dwóch szkrabów, którym chciałaby przekazać zamiłowanie do wykreowanych światów. Uwielbia twórczość J.R.R. Tolkiena, Jane Austen i Winstona Grahama, sama zaś najlepiej czuje się w klasycznej fantastyce i powieściach z historią w tle.

„Szept lasu” jest jej literackim debiutem, ale zapewnia, że na nim nie poprzestanie. Nowe powieści już się tworzą.

Bookiecik wrażeń: *Wielkie gratulacje w związku z niezwykle udanym debiutem! Jakie refleksje towarzyszyły Pani tuż przed nim, a jakie teraz, kiedy wciąż napływają entuzjastyczne opinie i recenzje?*

Autorka: Bardzo dziękuję! Przed debiutem było wiele strachu – zastanawiałam się, czy dobrze robię, czy książka się przyjmie, z jakim spotkam się feedbackiem. Teraz, choć dobrze wiem, że opinie zawsze będą różne, jestem dużo bardziej pewna siebie, swojego tekstu i całej historii. Nie żałuję, że zdecydowałam się na debiut każdemu chciałabym powiedzieć, żeby wierzył w siebie.

Bookieciak wrażeń: *Czy wplecenie w fabułę „Szeptu lasu” znanych już motywów baśniowych tak, by nie powielać schematów, było dla Pani sporym wyzwaniem?*

Autorka: Momentami tak. Wiele retellingów już napisano, wiele zekranizowano. Moim zadaniem było stworzyć coś, co będzie nadal znajome dla czytelnika, ale niejednokrotnie go zadziwi – i tu musiałam mocno liczyć na własną wyobraźnię, czasem hamować ją logiką i uważnie wczytać się w oryginalne wersje baśni. Wbrew pozorom są skarbnicą ciekawych, często już zapomnianych elementów, jak np. gołębnik albo pomarańcze.

Bookieciak wrażeń: *Dlaczego akurat las uczyniła Pani tą przestrzenią, która niemalże na równi z bohaterami odgrywa w powieści „pierwsze skrzypce”?*

Autorka: Bo sama kocham las! Chyba często swoich bohaterów wyganiałam do lasu... W innej powieści fantasy, która grzeje się w szufladzie, bohaterowie przez pół wyprawy siedzą właśnie w lesie. To takie magiczne miejsce - można się schować, ale i też zgubić, można odkryć nieznane, przemyśleć wiele spraw, zaczerpnąć innego powietrza. Zawsze w wyobraźni ożywiałam las i cieszę się, że w debiucie też mogłam go ożywić, pokazać od tej mrocznej strony, sprawić, żebyśmy się go bali i jednocześnie podziwiali.

Bookieciak wrażeń: *Czy stawiała Pani przed koniecznością walki o pewne wątki lub fragmenty książki na etapie jej redakcji? Jeśli tak, czy udawało się postawić na swoim czy raczej odkładała Pani na bok oręż?*

Autorka: Nie, na szczęście moja współpraca z Kamila Śliwińską była świetna i raczej polegała na wspólnej analizie, wymienianiu się spostrzeżeniami. Ufam w jej zmysł i umiejętności, robi to naprawdę dobrze i praktycznie wszystkie jej uwagi były sensowne, sama zaś Kamila wie, jak pisać, co często mam w głowie, więc praca z nią nie była walką, a bardzo przyjemną metamorfozą tego tekstu, z której sama mogłam wynieść wiele korzyści.

Bookieciak wrażeń: *Z kreacji której postaci z „Szeptu lasu” jest Pani najbardziej dumna i dlaczego?*

Autorka: Zdecydowanie z Jahtera. Ma chyba wbrew pozorom najbardziej poukładane w głowie i dostał najwięcej „czasu antenowego”, co było dość celowe, bo to książka głównie o nim i o Eillen. Pozostali bohaterowie otrzymają swoje tomy (ups, czy właśnie się zdradziłam, że będzie kontynuacja „Szeptu”?). Lubiłam o nim pisać, bo dużo przeżywał – możliwe, że w mojej głowie znacznie więcej niż to, co widzicie na papierze. Ale podobało mi



się to, że wyszedł całkiem naturalnie, bo dał się trochę pokaleczyć przez los, że nie do końca jest ufny. On niemal zjednął się z lasem i obecność Eillen jest dla niego równie ciężka, co fascynująca. Sama pokochałam w nim to, jakim opiekunem jest dla niej.

BookieciK wrażeń: *Jakie emocje Pani zdaniem wywoła w czytelniku lektura „Szeptu lasu”?*

Autorka: Trudno mi wejść w głowę czytelnika, ale chciałabym, żeby potraktował „Szept” jako lekką lekturę, żeby poczuł zapach mchu, usłyszał szelest liści, dał się zmrozić nieoczekiwanemu chładowi. Chciałabym, żeby czytelnik dał się zaskoczyć, szczególnie że zadbałam, aby ta historia nie była przewidywalna.

BookieciK wrażeń: *Samodzielnie zaprojektowała Pani okładkę swojego debiutu. Czy wersja pierwotna stała się tą ostateczną czy może było kilka różnych projektów?*

Autorka: Celowo sprawdziłam pierwszą wersję i różniła się niewiele, była bardziej niebieska. Sama okładka powstała na długo przed pojawieniem się pomysłu na wydanie książki i początkowo nie myślałam, że właśnie ją wykorzystam. Ale została i nie żałuję, bo dla mnie jest piękna.

BookieciK wrażeń: *Proszę zdradzić nam swoje najbliższe pisarskie plany.*

Autorka: No cóż, nie będzie już wielką tajemnicą, że przed nami jeszcze dwa tomy „Szeptu” i chyba mogę zdradzić ich tytuły: „Szept morza” i „Szept zimy”. Oprócz tego pojawi się książka, której bohaterem będzie pewien przystojny dżentelmen. Mam też w zanadrzu książkę fantasy w tzw. tolkienowskim klimacie, ale na razie daję jej jeszcze czas.

BookieciK wrażeń: *Bardzo się cieszę i z niecierpliwością już teraz na nie czekam. Dziękuję za rozmowę.*

Autorka: Również dziękuję. Pozdrawiam czytelników!

Mariola Sokal-Dziura
(@bookieciK_wrazen)



NA SZKLANYM EKRANIE

Życie nie zawsze układa się według planu. Doskonale zrozumie to jedna z bohaterek nietuzinkowej komedii romantycznej „Ja cię kocham, a ty śpisz” w reżyserii Jona Turteltauba z 1995 roku. Jest to bez dwóch zdań film idealny na chłodne wieczory pod ciepłym kocem, z kubkiem ulubionej gorącej czekolady.

Kilka słów o fabule...

Lucy (wspaniała rola słynnej Sandry Bullock, od której tak naprawdę rozpoczęła się jej kariera) to samotna pracowniczka metra. Nie ma rodziny, mieszka sama z kotem, każdy jej dzień mógłby wyglądać tak, gdyby nie fakt, że od pewnego czasu skrycie podkochuje się w jednym z mężczyzn (w roli Peter Gallagher). Wysoki, przystojny, być może bogaty brunet każdego dnia pojawia się na peronie. Chociaż zupełnie się nie znają i nie zamienili ze sobą ani słowa (nie licząc grzecznościowego uśmiechu przy sprzedaży biletów), Lucy jako niepoprawna romantyczka skrycie marzy o wspólnie spędzonych chwilach, romantycznych randkach oraz ślubie. Któregoś dnia, pech chciał, że „ukochany” zostaje napadnięty i wpada na tory, tracąc przy tym przytomność. Nasza bohaterka ratuje mu życie i od tego momentu wszystko diametralnie się zmienia. Kiedy odwiedza mężczyznę w szpitalu, dowiaduje się, że zapadł on w śpiączkę. Ponadto rodzina poszkodowanego omyłkowo uznaje, że Lucy to naręczona ich syna. Dziewczyna nie potrafi wyjawiać całej prawdy, więc postanawia udawać przyszłą synową najlepiej jak tylko potrafi. Niestety nie będzie to takie proste, zwłaszcza, iż bardzo szybko polubi brata jej „narzeczonego”. Zresztą z wzajemnością... Jak potoczą się jej losy? Czy ta lawina pomyłek zmierzy w kierunku szczęśliwego i wymarzonego przez Lucy zakończenia? A może czasami lepiej pozwolić, aby scenariusz życia pisał się sam?



„Ja cię kocham, a ty śpisz” to zwariowana i ciepła komedia; tak jak już wspomniałam, idealna na chłodne wieczory. Oczywiście, jak to w filmach tego typu bywa, nie obędzie się tutaj od kilku przewidywalnych schematów i irytujących decyzji bohaterów. Jednak moim zdaniem tylko dodają one uroku i powodują uśmiech na twarzy widza. Mogę również zapewnić, że nikt podczas seansu nie zaśnie :), a jedynie miło spędzi wieczór, zanurzony w niezwykłym świecie, kibicując Lucy i jej wyborom.

Serdecznie wszystkim polecam ten film!

Aleksandra Chutkowska

„Człowiek planuje...”

„Człowiek planuje, a Pan Bóg się śmieje” – słowa te niech będą przewodnikiem oraz mottem mojego dzisiejszego artykułu. Mówiąc prościej, chcę podzielić się refleksją, że nie wszystko w naszym życiu zależy tylko od nas, natomiast kim będziemy, co osiągniemy lub jak potoczy się nam życie, często zależy od przypadku, okoliczności lub zrządzenia losu. Co więcej, często decyduje o tym tylko kilka minut - krótka nieodwracalna chwila. Jak czas i historia potrafią pogmatwać ludzkie losy, chcę przedstawić na przykładzie życiorysów trzech braci, młodzieńców pochodzących z biednej jasiennickiej rodziny, rodziny Szyszków.

Stanisław, Bronisław i Jan, to imiona bohaterów mojego opowiadania. Wszyscy na świat przyszedli w międzywojniu, w ubogiej chłopskiej rodzinie, gdzie głód oraz niedostatek były jej stałymi towarzyszami. Każdy z nich miał własne marzenia, plany i zamierzenia, ale jak każdy z nas, nie byli w stanie przewidzieć co przyniesie im kolejny dzień. Niemniej, żyjąc w określonym czasie i w konkretnym miejscu, gdzie każdy dzień był bliźniaczo podobny do poprzedniego, wierzyli, że czeka ich los podobny temu, który był dany ich rodzicom. Mylili się. Nie przypuszczali, że jedna chwila, jedno wydarzenie może zmienić ich całe dotychczasowe życie, a co gorsze - zakończyć je w najmniej spodziewanym momencie. Nie byli chłopcami ułożonymi, wręcz przeciwnie, przynależeli grupie miejscowych chuliganów. Ot tacy wiejscy nożownicy, typowe gorące głowy. Skorzy do bójk w każdym czasie i okolicznościach.

Nie wiem czy pierwszym, ale na pewno najważniejszym wydarzeniem w życiu starszych braci była wiejska zabawa, która miała miejsce we wsi Bystre, miejscowości położonej po drugiej stronie lasu. Ta zamieszkała był w dużym procencie przez osoby związane z wiarą prawosławną, dlatego dla osób uważających się za katolików, było ważnym pretekstem do wzniecania awantur, niepokojów i bójek. Chociaż szczerze mówiąc kwestie wyznania były tylko wymówką, liczyła się bowiem dobra „zabawa”, gdzie krew winna łać się dużymi strumieniami. Powie ktoś: okrutne, prostackie i chamskie. Tak, ale tak właśnie było, na co mamy potwierdzenie w całkiem nieodległych czasach, gdy bywało, że nawet rodzinne chrzciny spływały krwią, nie licząc już wesel czy wiejskich zabaw. Wprawdzie wybierając taki styl życia wiedzieli bracia, że może być różnie, ale nie spodziewali się takiego zakończenia.

Wystrzałem z rewolweru zabity został Andrzej Giecko a lekkie rany odniósł Wasyl Romanik. Jak ustalono, śmiertelny strzał oddał Jan Szyszka, który również doznał uszczerbku na zdrowiu od ran zadanych mu ostrym narzędziem. Jednak mocniej ucierpiał jego brat Bronisław, który zmarł następnego dnia, stając się tym samym drugą ofiarą owej nieszczęsnej zabawy. Ponadto Policja zatrzymała do wyjaśnienia jeszcze kilka osób biorących aktywny udział w bójk. Byli to; Antoni Guty, Jan Zawojski i Wasyl Lipko.

Powyższe słowa są cytatem z kroniki kryminalnej zamieszczonej w ogólnokrajowym czasopiśmie, opisującym tamtejsze tragiczne wydarzenia.

Rodzina wspomina, że była to bezsensowna śmierć, która wynikała więcej z zawziętości oraz nieporozumienia, niż z zamierzonego czynu. Planowali wprawdzie bystrzanie pobić jasienniczán, ale chodziło im o inne osoby. Bracia Szyszkowie znaleźli się w niewłaściwym miejscu i w nieodpowiednim czasie. A że byli zawzięci oraz nieustępliwi, to taka postawa doprowadziła do tragedii. Rozpoczęło się od ostrej wymiany zdań, a skończyło się na iście krwawej jatce.

Jak zginął Bronisław? Jemu podczas ucieczki nogi wplątały się w nać od ziemniaków, co doprowadziło do upadku. Pozwoliło to atakującym dobiec i zadać silny cios w pierś. Wojskowy bagnet na tyle wszedł głęboko w ciało, że obrażenia okazały się być śmiertelnymi. Zmarł w południe następnego dnia. Pochowano go na krzeszowskim cmentarzu we wtorek 27 lipca 1937 roku, dwa dni po tamtym tragicznym wydarzeniu. Odszedł młodo, przeżywszy zaledwie dziewiętnaście lat. A Jan Szyszka, co z nim? Przecież to on oddał śmiertelny strzał? Ten trafił na pewien czas do więzienia, a po odbyciu kary (po wojnie) ożenił się i wyjechał na Ziemię Zachodnie.

Tak oto jedno wydarzenie, jedna chwila zaważyła na losach tyluż młodych ludzi. Ale to nie wszystko, aby dodać pikanterii banalności losu, chcę słowami rodziny powiedzieć, że ten życie młodego człowieka „powierzył” zielonej i bujnej naci ziemniaczanej. Bronisław był bowiem na tyle daleko od goniących go napastników, że będąc pewnym udanej ucieczki, przystanął, by wulgarnymi słowy zakpić z pogoni. To była właśnie ta chwila, te kilka sekund, które zdecydowały o jego życiu i śmierci. Powie ktoś: tak było mu pisane – kusił los. Rzeczywiście kusił los, ale też nie wierzę w przeznaczenie zapisane w gwiazdach. Chcę tylko zaznaczyć, że niezależnie od sił, zdrowia, czy zasobności portfela, nigdy nie wiemy co czeka nas za kolejnym mrugnięciem powieki, a jedna chwila, jedno spojrzenie, spotkanie lub wydarzenie może decydować o naszym przyszłym życiu - tak w jego złym, jaki i dobrym wymiarze. W przypadku Bronisława chwila ta okazała się być tragiczną. Jego brat Jan miał więcej szczęścia, ale piętno zabójcy sprawiło, że po wojnie musiał układać sobie życie poza rodzinną miejscowością.

Historia życia trzeciego z braci – Stanisława, była odmienną powyższych. Wzrastając w tym samym domu i taki samym otoczeniu, również podążał drogą starszego rodzeństwa. Miał jednak to „szczęście”, że urodził się kilka lat później, dlatego nie uczestniczył w owych tragicznych wydarzeniach. Dorastanie w zabitej dechami wiosce, w ubogiej wielodzietnej rodzinie oraz trzy klasy szkoły powszechnej. Jakie więc życiowe perspektywy mogły roztaczać się przed młodym zbuntowanym człowiekiem? Morga pola w spadku po rodzicach? Życie na granicy przetrwania, a do tego mocno zakrapiane alkoholem? Pewnie niewiele więcej.

Druga wojna. Stanisław zostaje wcielony do wojska, do artylerii, i walczy w wojnie obronnej września 1939 roku. Do domu już nie powraca. W zamian czeka go sowiecka niewola, więzienie i łagry. Od śmierci z głodu i przepracowania ratuje go gen. Anders i jego nowo formowana Armia. Potem jest Palestyna, Włochy i Monte Casino. Za bohaterstwo w walce zostaje wielokrotnie odznaczony. Do ojczyzny przodków, do komunistycznej Polski, już nie powraca. Wiedzie życie emigranta, ale nie tułacza czy biedaka. Zakłada rodzinę, pracuje i bogaci się, ciesząc się jednocześnie zasłużoną opinią bohatera. Ot, niby nic nadzwyczajnego,

życiorysów jakich wiele. Zgadzam, ale proszę pamiętać co mówiłem na początku. Nie wszystko od nas zależy i nie nad wszystkim będziemy mieć władzę oraz baczenie. Często o naszych losach decydują przeróżne wydarzenia. Te duże i te całkiem małe. Te przyjemne i te, których chcielibyśmy uniknąć. Czy pisałbym dziś o Stanisławie gdyby pozostał w rodzinnej wiosce i zapisał się na śmierć? Może, ale na pewno w innej formie i w innym miejscu. Sprzężenie zwrotne dodatnie: tragedia wojny okazała się być szczęśliwym rozwiązaniem dla Stanisława.

Człowiek planuje, a Pan Bóg się śmieje... Czy oznacza to, że mamy być jak liść czekający na burzę? Nie, w żadnym wypadku. Chcę tylko powiedzieć, że nikt - tak jak życie, nie nauczy nas pokory.

Człowiek planuje... to tylko hasło, wytrych, ponieważ tym sposobem chciałem przedstawić losy trzech braci: Jana, Bronisława i Stanisława. Chciałem, aby ich imiona nie zostały zapomniane na wieki. Może inaczej; chcę przywrócić ich pamięci, ponieważ w rodzinnym Jasienniku nikt już o nich nie pamięta.



Zdjęcie Stanisława Szyski

Andrzej Wójcik

SPOD PIÓRA

Robert Zimmerman, później oficjalnie już jako **Bob Dylan**, potomek żydowskiej rodziny wywodzącej się z rejonu południowej Ukrainy, to osoba niepodlegająca powszechnym standardom, zarówno ludzkim jak i artystycznym. Spora w tym zasługa jego własnej, życiowej filozofii. Karierę rozpoczynał jako nastolatek. Wybrałszy się do Nowego Jorku, tułał się i korzystał z uprzejmości znajomych, nadużywając jej bez umiaru - sypiając u nich, objadając i wykorzystując branżowe znajomości.

Literacki noblista, mimo że niedawno skończył 81 lat i – jak piszą – prezentuje „pomarszczoną jak skorupka orzecha” twarz, wyrusza w kolejną światową trasę koncertową, za nic mając wcześniejsze ostrzeżenia. A już nie raz mu się zdarzyło z powodów zdrowotnych odwoływać koncerty. Jednak artystyczne ADHD okazało się nieuleczalne. W trasy koncertowe wyruszał w swoim życiu kilkadziesiąt razy. Początkowo lokalnie, potem po całych Stanach Zjednoczonych, by w końcu prezentować swoją muzykę na całym świecie. Szczególnymi względami i zainteresowaniem cieszyły się jego trasy po USA, Wielkiej Brytanii oraz Japonii, gdzie podczas występu w wielkiej hali widowiskowej został nagrany jego najslawniejszy koncertowy podwójny album „*Dylan at Budokan*”. Długie, wielomiesięczne trasy Dylana obfitowały w niespodziewane przypadki. Zdarzało się, że w trasie wymieniał towarzyszących mu muzyków lub przerywał koncertowanie z powodu choroby. Otarł się też o szaleńca, który wtargnął na estradę z siekierą.

Początkowo jego muzyką był amerykański folk, łączony później z country, a występował ze skromnym instrumentarium; gitara i harmonijka to były jego sceniczne wizytówki. Kiedy zaczął współpracować (i nagrywać) z coraz większym zespołem muzyków, wprowadzając rockowe instrumentarium i moc, dotychczasowe rzesze fanów wręcz zarzuciły mu zdradę. Bywało, że w trakcie tras koncertowych jego występy spotykały się z protestami publiczności, wyrażającej niezadowolenie buczeniem i gwizdami. Dylan robił jednak swoje, choć hałas musiał zagłuszać coraz głośniejszą muzyką. Nie przejmował się tym i w końcu jakoś fanów ponownie do siebie przekonał. Obecnie w jego koncertach słychać zarówno nowoczesne, silne brzmienie, jak i to dawne akustyczne.

Wbrew powszechnemu przekonaniu (co do historii z lat 60/70-tych), Dylan przez długie lata konsekwentnie odżegnywał się od miana lidera kontestującej ówczesne realia młodzieży i nie mieszał się do żadnych społecznych działań. Fakt, napisał kilka utworów stanowiących coś w rodzaju hymnów czy protest songów, ze sztandarowymi *Blowing in the wind*, *Times they are a-changing* czy *Knocking on heaven's door*, lecz w gruncie rzeczy większość jego piosenek mówiła o pokręconych ludzkich losach oraz o miłości. Niespełnionej, choć przez jego życie przewinęło się wiele kobiet. Szczególnie jedna z nich – Joan Baez, sławny amerykański bard w spódnicy – trwała przy nim i obok niego przez całe dziesięciolecie, choć nigdy nie została jego żoną.

Dylan występował i nagrywał z często zmieniającymi się muzykami, towarzysząc innym na koncertach lub dołączając ich do swego zespołu; wliczając w to największe sławy, od Beatlesów i Rolling Stonesów, po Claptona, Simona, Baez i The Band. Wiele z napisanych przez siebie piosenek przekazał innym wykonawcom. A miał niezwykłą łatwość pisania; zawsze i wszędzie. Teksty powstawały taśmowo, właściwie jako wiersze; a potem wzbogacone o muzykę stawały się piosenkami. Beatlesom przypisuje się napisanie 300 piosenek, Dylanowi co najmniej 600.

Ciekawostka - Dylan nigdy nie nauczył się korzystać z zapisu nutowego. Nie palił się też do nauki i nie skończył ledwie rozpoczętych studiów. Za nieporównywalne artystyczne osiągnięcia zdobył większość możliwych nagród, z Noblem (otrzymał go w 2016 r, a odebrał w 2017 r), Oscarem, Grammy, Pulitzerem i Prezydenckim (Obama) Medalem Wolności łącznie.

Łyżka dziegciu: Dylan nigdy nie oglądał się na innych i nie przejmował się nimi, chyba że dla własnej korzyści, co poniekąd kłóciło się z jego artystyczną wrażliwością. Niejeden poczuł się przez niego wykorzystany. Nie tylko prywatnie, ale i zawodowo, gdy na przykład nie rozpoznawał byłych współpracowników (muzyków), albo kiedy po wydaniu kolejnej udanej płyty skąpił im autorskich egzemplarzy; musieli je sobie sami kupować, a przecież szybko stał się bardzo majątnym człowiekiem. Niemniej, trudny charakter niespecjalnie zaszkodził jego publicznemu wizerunkowi, ponieważ Dylan jak mało kto, przez całe życie zażarcie bronił swej prywatności. Stąd, przykładowo, upłynęły lata zanim fani dowiedzieli się o jego (dwóch) żonach i dzieciach.

Reasumując: **Bob Dylan nie przejdzie do historii – on zajął już tam odpowiednie miejsce.**

Oprac. Juliusz Rafeld

Dziewczyna z północy

Gdybyś się kiedyś wybrał w zimną krainę
Gdzie dłoń wichru łyż z oczu wypłukała
To wspomnij o mnie tamtej dziewczynie
Która w moim sercu kiedyś mieszkała

Jeśliby płatkami śniegu w twarz zima sypała
I gdyby się lodem wszystkie rzeki skuły
Zajrzyj proszę czy się ciepłym szalem
ogrzała
Gdy czekać będzie następnej kanikuły

Zerknij proszę czy jej ładnie w długich
lokach
Czy z ramion i z czoła odgarnięte
Czy światło się w jej oczach z rana przegląda
Bo taką ją ciągle pamiętam

Ciekawe czy ona mnie jeszcze pamięta
Czy moje imię wymawia przed snem
Czy zdjęcie głęboko w szufladzie zamknięte
Pytam swych myśli nocą i dniem

Więc gdybyś się kiedyś wybrał w zimną
krainę
Gdzie dłoń wichru łyż z oczu wypłukuje
To wspomnij o mnie tamtej dziewczynie
Która w moim sercu kiedyś mieszkała

W nieskończoność

Wolno płynęła moja pieśń
A mrok skrywał twoją postać
Lecz w końcu wyszłaś z cienia na świat
Gdy moje struny zaczęły łąć

W ślad za śpiewnymi nutami
Podążyły twoje oczy w tańcu
Pod rękę z muzyką przyłączyły się ptaki
A jam przecież dopiero zaczął grać

*(„Nikt nie jest wolny, nawet ptaki są
przywiązane do nieba”)*

Głupiec jak ja

Wybacz sentyment z jakim patrzę gdy
odchodzisz

I jeśli przypadkiem łza się w moim oku
zrodzi

Gdy już pusto całkiem śnić będę przez lata
Jak ten głupi aż do końca świata

Tak, wiem, że dla ciebie rozum postradał
I że mnie teraz uczysz sztuki rozstania
Wiem, że dla mnie głupca takiego
Miłością twoje imię będzie do końca świata

Wybacz sentyment z jakim patrzę gdy
odchodzisz

Wybacz jeśli łza w oczach głupca się narodzi

Jak woda szeroka

Woda szeroka i trudno ją przebyć
Gdybym choć skrzydeł parę miał by latać
A tak smukłej łódki będzie trzeba
I dwóch mocnych wiosł dla nas

Jak okręt pełen po brzegi
Co się leniwie z toni wynurza
Nie wiem czy moja miłość w morskiej kipieli
Nie zginie gdy nadejdzie burza

Wsparty o pień dębu plecami
Ufasz w jego magiczną siłę
Lecz i on pewnie czasem ustąpić potrafi
Gdy sam w siebie wierzyć przestaniesz

Och, miłość jest ulotna i krucha
Radosna z początku blaskiem się mieni
Lecz gdy historia jej staje się zbyt długa
Suchymi liśćmi trawnik może zaścielić

Woda szeroka i trudno ją przebyć
Gdybym choć skrzydeł parę miał by latać
A tak smukłej łódki będzie trzeba
I dwóch mocnych wiosł dla nas

Któregoś dnia

Mówią że nic nie jest wieczne
Że to co tu odpłynie w dal
Zapamiętam więc wszystkie twarze
Tych których los mi kiedyś dał

Mówią że każdy coś jest wart
Że musi upaść lecz może w stać
Wiem jak trudny jest każdy start
Z góry chyba lepiej widać świat

Ten co w tłumie obcych wszystkim jest
Nie myśli pytać skoro lepiej wie
Przysięgać gotów w noc i w dzień
Że milion winnych lecz nie on

Nade mną blask łagodzi cień
Nowy ranek czy czarna noc
Choć nie wiem jak i którego dnia
Uwolni mnie magiczna moc

Gdy będzie po mnie

Proszę otrzyście łzy gdy już będzie ze mną
źle
I tam gdzie mój dom zawieźcie mnie
Och, żebym mógł spokojnie
Pożegnać się
Kiedy Bóg łoże pościelić mi zechce
Niech płaczą tylko liście na wietrze

Na górze na spotkanie
Będę gotów cały
Może nawet pod chmurami
Anioły będą śpiewały
Gdy Bóg łoże pościelić mi zechce
Niech płaczą tylko liście na wietrze

Otrzyście łzy proszę gdy już będzie ze mną
źle
Po prostu stąd wtedy zabierzcie mnie
Och, żebym mógł spokojnie
Pożegnać się
Kiedy Bóg łoże pościelić mi zechce
Niech płaczą już tylko liście na wietrze

Zaginiony szlak

Taki ze mnie wędrowiec samotny jak ptak
Ani ze mnie towarzysz ani wiatru brat
Gdy mijam twój dom słyszę śmiech i gwar
Och, to taki jeden co zagubił swój trakt

Znowu karty poszły w tas
Stoi wina pełen dzban
Ta kobieta w moich snach
Której zwiódł mnie smak
Tego dnia w deszczu i mgłach
Och, właśnie zagubiłem swój trakt

Mały chłopak ze dwadzieścia lat i dwa
Anim dobry był ani też niebieski ptak
Teraz już wiem daremny mój żal
Zaginiony trakt prowadzi mnie w dal

Mój dobry Boże gdy ludzie jak ja
Próbują szukać gdzie jest ich świat
Wskaż im proszę mój zgięty kark
I jak nie trafić na ten zagubiony szlak

Wierzę w ciebie / tylko ciebie mi brak

Ciągle myślą że to tylko mi się śni
Wciąż pytają czy przetrwać wiem jak
Krzywym okiem patrzą wciąż
Lepiej idź już sobie stąd
Ale czy to jest mój wielki błąd
Że tylko ciebie mi brak

Co dzień pokazują że otwarte są drzwi
A za nimi jest szeroki trakt
Zatem w drogę ruszaj tam
Tysiąc mil przed sobą mam
Mimo to nie będę sam
I tylko ciebie mi będzie brak

Tylko ciebie mi brak, wyschły lży droga
prosta już
Tylko ciebie mi brak, choć przede mną cały
świat
Tylko ciebie mi brak, za mną został tylko
kurz

Och, nadchodzi nowy świt
Och, noc już nie straszna mi
Nie daj zgubić drogi tej
Gdzieś na końcu czekaj mnie
Jeszcze tylko jeden daj mi znak
Bo tylko ciebie mi brak

Och, nie przeszkadza mi mój ból
Och, nawet deszcz przestał już
Kwitną słowa jak kwiat
I już tylko ciebie brak

Tłumaczenie: Juliusz Rafeld





WIERSTW Z SZUFLADY

Nie jedn4

juŹ
łŹ
otarłeś mi

nie jedn4
juŹ
noc
tulileś mnie

nie jeden
juŹ
raz
rozgrzewaleś mnie

gdy świat Źe swych objęć
wypuszczał mnie

zŹiebnię4

J.BoŹek Krasoń

Zima w Bergen

Noc sw4 poŹwiat4 niebo okryła ta zima w
Bergen miała swój klimat. Siarczysty mróz
dał mi dziś znać okryty kołdr4, lecz nie umie
spać.

Tonę w marzeniach, swoich wspomnieniach,
zapalam Źwiecę, chłód w dom się wdziera.
Jak nawiedzony spisuje słowa, księgę mych
myśli w łupinie chowam.

Wiatr za mym oknem w porywach milczy
jestem tu z Tob4 w tej leśnej dziczy.
Odkrywam siebie ci4gle na nowo kreuje sam
sw4 osobowość.

Jestem człowiekiem dobrym czy złym nie
mnie rozs4dzać dziś moich win. Popijam
whisky w dymie cygara jest druga, trzecia
nie mam zegara.

Obok kobieta jest kwintesencj4, jest mego
Źycia wieczn4 esencj4. Chciałem gdzieś
uciec z dala od ludzi, sumienie swoje wnet tu
obudzić.

PejzaŹ za oknem, czysta poezja, warstwy te
puchu wiatr wciąż przemieszcza. Powieki me
s4 juŹ zamknięte w krainę snu wnet znów
przybędę.

Dave Vantor

WIERSTW Z SZUFLADY

Redakcja: Joanna BoŹek-Krasoń

Opracowanie graficzne: Natalia BoŹek

Współpraca: Piotr Flor, Mariola Sokal-Dziura, Aleksandra Chutkowska, Andrzej Wójcik,
Juliusz Rafeld, Dave Vantor,

Adres redakcji: Huta Krzeszowska, ul . Ł4kowa 29, 37-413 Harasiuki

E-mail: wioska.na.krancu@wp.pl

Tel: 535455794

Nr w rejestrze Dzienników i czasopism: INS 15/20

Druk: Magenta, Bydgoszcz, Konarskiego 2 **Nakład:** 40 egz.